



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

KSIAZKI DLA MŁODZIEŻY.

Są autorowie na każdym polu literatury, którzy, bardzo obficie, piszący dużo i dobrze, miewają jednakowoż chwile silniejszego natchnienia, błysk niepospolitego pomysłu i szczególniejszą staranność wobec, niektórych prac swoich; wtedy na tle ich działalności występują utwory jedne bardzo przewyższające ogół literackiego dorobku i stające się typowymi tych autorów dziełami. P. Teresa-Jadwiga dała już naszej młodzieży i dziatwie, cały, długi i bardzo dobry szereg książeczek, a w tym roku mamy jej utworów, aż sześć. O jednych jużśmy mówili, dzisiaj przyszła kolej na inne. Autorka rozpoczęła cykl powieści historycznych dla młodzieży (Wydawca: K. Grendyszyński Petersburg, 1898) i już mamy dwie pierwsze książki z tego zbioru: „Przed świtem“ i „Wielki Król.“ ozdobione rysunkami M. Kotarbińskiego. „Przed świtem“ to ów czas gdy rozsiadłone ludy słowiańskie między Elbą, Odram, a Wisłą wiodły niebaczny choć szczęśliwy żywot, po wiejskich siedzibach, siejąc zboża, sycąc miód, grając na gęśli i niestety, swarząc się między sobą. Ów stan naiwny, przedziejowy, przerywany ciąglemi utarczkami ze zbrojnymi Germanami budzi w sercach mądrzejszych kmieci rozwagę i skupiają się chaty, gminy, trwa walka zawzięta o nierównych siłach, luźnych pokoleń z regularną armią żelazną Niemca, opieszale jakoś broniących swe ludy bogów, a krzyżem który wrogowi przyswieca. Więc trzeba do tego krzyża się udać, i postawić go po swojej stronie, ały się siły zrównoważyły. W tym celu też, gdy świt

dziejowy się zaczyna rozwidniać, a mgły bajeczne opadają, król Mieszko wysłał swaty po Dąbrówkę i od tej pięknej monarszej pary zaczną się nowe dzieje, stałe i pewne jak wszystko co wielka idea prowadzi. Oto jest treść ogólna książeczki, w której kilkanaście osób działa, a tło historyczne ładnie splecione jest ze starymi pieśniami, legendami i całym ryzostunkiem poetyczno-bajecznym, który autorka zna widać drobiazgowo i właściwie go używa.

Następna książka, to już wiek dalszy, Bolesławowe dzieje, św. Wojciech i Kunilda, wielki Król i wielkie wypadki mniej tu poezji, a więcej akcji i ruchu rzeczywistego, a całość daje wcale udany obraz tego wieku kiedy ręka genialnego władcy umiała ze zdarzeń póki jeszcze gorące kuć wspaniałą epopeję swego panowania.

W „Burzy“ przedstawia Teresa-Jadwiga oblężenie Lwowa i nawałę turecko-kozacko-tatarską. Wszystkie te książeczki stoją mniej więcej na równi z dawnymi utworami pióra autorki, ale mamy dwie jeszcze, zdaje mi się najlepsze ze wszystkiego, co kiedykolwiek napisała. (Warszawa Borkowski i Karpowicz, 1898). „Błysnęło i zgasło“ to przesłiczna rzecz, pełna zapału, kreślona z widocznym zamilowaniem i starannością wyjątkową; z pieśni, z podań, z dziejów Serbii dawniejszej i nowszej spłotła się tu historia jednej rodziny na tle historycznej rzeczywistości, a owa „walka co się raz zaczyna“ i „z krwią ojca dziedzictwem przechodzi na syna“ wrze tutaj od początku do końca w sercach męskich, kobiecych, młodzieńczych, pachlących i raz dokonywa cudów waleczności, to znów ucisza się w sercach jako „wąż wystygły“ i znów czeka właściwej dla siebie chwili.

Car Duszan, Lazar, Stefan, Kosowe pole, nienawiść do Turków, odporność Serbów, miłość ziemi, rodziny, szlachetna obrona własnych progów miłość i zemsta, złożyły się na śliczną całość i książeczka ta będzie w sercach młodzieży bu-

dziła nietylko te codzienne dobre uczucia, prawdy, dobra, uczciwości, których autorka jest zawsze rzeczniką, ale i tamte wyższe uczucia, uniesienia i natchnienia, w których ciepłe dojrzenia odwaga i zapał, w których świetle widzi się cele dalekie i trudne, a poświęcając im siły, z przeciętnych ludzi, ludzie się stają wyższymi, odpowiedzialnymi, bohaterskimi. Jednym słowem udała się, zupełnie się udała ta książeczka i gorąco ją polecić można młodym czytelnikom. W kilku pokoleniach zręcznie się stopniuje uczucie miłości do ziemi rodzinnej, jedni tam walczą, drudzy cierpią, jedni stygną, drudzy obojętnieją, znów się budzą i działają, a wszystkim tkwią w pamięci słowa starego Tetery: „Wierzcie w przyszłość, i tej wiary nie zatracajcie, niechaj przyswieca ona waszemu życiu, niech was rozgrzewa, otuchy wam dodaje; rozniećcie ją w sercach waszych synów, krzewcie w całej Serbii, bo ona jej życiem, jej przyszłością.“

Z innego świata, ale równie wyborną jest książeczka p. t. „Dwaj Mistrze“ (Wydawnictwo taniich książeczek dla młodzieży. Nakład księgarni A. Rzążewskiej i I. Lisowskiej. Warszawa. 1898 II).

Życie, natchnienia, utwory, idee przewodnie, zasługi, Chopina i Moniuszki skreślone tu zostały w rodzaju powiastki czy opowiadania, lekko, zajmująco, serdecznie, a właśnie to, że autorka nie rozdzieliła tych dwóch życiorysów, lecz spłotła dzieje Mistrzów ze sobą, tem jaśniej łomaczy potęgę wpływu jednego na drugiego i wogóle wpływ sztuki na tych, którzy do niej powołanie mają.

Książeczka kończy się bardzo ładnym epilogiem poświęconym samej muzyce, jej dobroczynnemu wpływowi, jej rozwojowi poczynając od liry Orfeusza, aż do mistrzowskiej gry Chopina a główny jej motor wskazany jest w owej piosnce ludowej, w owej zaczarowanej fletni rodzinnej, która przechowuje w sobie wspomnie-

nia, drży współczesną tęsknotą i nawołuje echa na daleką przyszłości drogę.

O ile pamiętam jest to jedna z pierwszych, a w każdym razie jedna z bardzo niewiele książeczek, które młodzież wprowadzają w świat sztuki, w krainę piękna i arcyzmu, więc jeszcze i z tego względu tem wdzięcznej powitać ją należy. Gdyby autorka zechciała wszystkie swe prace tak starannie pod względem języka i formy zewnętrznej, a czasem i pod względem rozłożenia treści, opracowywać, jak te dwie ostatnie książki, liczyłaby w szeregu swych utworów więcej tak wybornie skończonych utworów jak „Błysnęło“ i „Mistrze.“ W pracach autorki widać tu i owdzie pośpiech tworzenia, mniej dbałą dokładność w przejrzeniu ostatecznym dziełka pod względem literackim, przy opisach bardzo ładnych, tuż, znajdują się prozaiczne i mniej wyborowe wyrażenia, niepotrzebne na danym miejscu, a książka przed drukiem ściślej przejrzana skorzystałaby na harmonii ogólnej.

A korekta też mogłaby być staranniejsza, ta mianowicie w utworach historycznych ciągła zmiana w nazwiskach bohaterów Urosz, Urasz, i t. p.) mylić może młodemu czytelnikowi rozumienie rzeczy.

Są to jednak usterki łatwe do usunięcia w następnych wydaniach których autorce szczerze życzymy.

Wyczerpując już plon książeczek historycznych musimy wspomnieć, o bardzo udatnej pracy p. Maryi Świdorskiej, znanej z utworów dla młodzieży, a w swoich: Opowiadaniach historycznych (Warszawa, Gebethner i Wolff 1898) przedstawiającej nam szereg zajmujących scen z różnych chwil ważniejszych, przedstawionych żywo i barwnie, a co ważniejsze prawdopodobnie. Autorka zna dobrze historię i materyał obrobiony wedle najnowszych badań krytycznych, umie spleść w swem opowiadaniu z fantastycznie wysnutą nicią zdarzeń dotyczących wprowadzonych przez nią bohaterów.

P. J. Laskarys opowiedział dla młodzieży „Przygody Jana Chryzostoma Paska“ (Warszawa Gebethner i Wolff 1898); opowiedział gładko i dobrze, lecz naturalnie, że wyborne te pamiętniki w oryginalne, trochę szorstkie i rubaszne choć pełne humoru, obecnie dla młodzieży, że się tak wyrażę: „spedagogizowane,“ straciły wiele na barwie i wesołości, na tym swym świetnym numerze w stylu „jedz pij i popuszczaj pasa;“ są jednak bardzo pożyteczne, miejscami wesołe, a wogóle dość typowo zachowaniem opowiadaniem z danej epoki. Język jednak i styl Paska zostały zamienione na dzisiejsze opowiadanie, a wiele rzeczy bardzo skrócono, może niepotrzebnie, jak np. nawet ową przygodę z wydrą ofiarowaną Sobieskiemu.

Tegoroczny zapas wydawniczy dostarczył nam również kilku tłumaczeń z obcych języków. Z przyjemnością zaznaczyć muszę, że plon nasz swojski, wyrosły na naszym gruncie jest daleko lepszy, daleko wyższy duchem utworów i nawet bardziej zajmujący, choć mniej drażniący ciekawość zbiegiem dziwnych, często nieprawdopodobnych wydarzeń jakie spotykamy w tych cudzoziemskich utworach.

„Wśród chmur i słońca“ powieść Armstrong'a przełożona z angielskiego przez Maryę B. (M. Arct. Warszawa 1898) jest powieścią taką dla nas obcą, taką cudzą, choć język dobry i prawie że nieznaczące to tłumaczenie. Najlepszym z obcych nabytków są przygody podróżników w Grenlandyi i na biegunie północnym przez Gordona Stablesa p. t. „Na dalekiej Północy.“ Przełożyła K. P. z angielskiego. (M. Arct. Warszawa 1898). Opisy przyrody są dokładne, jasne, miejscami piękne, a całość bardzo dobrze objaśnia młodzież o warunkach natury, życia, zatrudnień, niebezpieczeństwach, wrażeń, pożytków oddalonych od nas krainy, gdzie panuje śnieg, mróz i zorza polarna.

Pozostaje mi jeszcze jedna książeczka; jestem pod jej wrażeniem i pragnęłabym się niem podzielić z czytelnikami jaknajprędzej i jaknaj-

szerszej. Książeczka ta ma tytuł: „Dzieci Warszawy“ opowiadanie dla młodzieży przez Zofię Bukowiecką. (Warszawa Gebethner i Wolff 1898). Pragnę o niej napisać coś więcej; w dzisiejszem ogólnem sprawozdaniu z tylu innych utworów miejsca mi braknie; nie dziś więc; do widzenia „Dzieci Warszawy;“ ja o tej ślicznej książeczce napiszę osobno.

Szczęсна.

POGAWĘDKA.

„Czy to bies, czy to pies?“ pytali klasycy, drwiąc z romantyków. Czy to bies, czy to pies? możemy zapytać zimę tegoroczną, którą do wciwnie *chłodnem latem* nazywają. Zart jednak na stronę—zima obecna nie jest zimą, lecz tylko przedłużeniem chłodnej, brzydkiej a kapryśnej jesieni, mającej na zawołanie uśmiech słońca i strugi zimnego deszczu, jakieś tchnienie wiosenne wnet zmieniające się na huragan śnieżny; mróz dziesięcio-stopniowy ścina ziemię, to odwilż nagła do cna ją rozmacza, człek z domu wychodzi w futrze, idąc z powrotem żałuje, że palta lekkiego nie wziął; korzysta z zupełnie suchych chodników i niewygodne kalosze w mieszkaniu zostawia, ale nie zdołał jeszcze dojść do zamierzonego celu, jak termometr mazurowego jakiegoś hołubca dał, do góry podskoczył i niewiadomo zkad i jak trotuary wszystkie okryły się masą błota.

Ta kobieca... (przepraszam—ale temperatura jest rodzaju żeńskiego) niestałość temperatury, niedobre wpływa na zdrowotność miasta, jako też zasiała lica zatrwożonych o urodzaje gospodarzy wiejskich. Nietylko z Królestwa, zle wieści do nas dochodzą. Ziemia niepokryta śniegiem grozi zmarznięciem ziarn, groźne widmo nieurodzaju stanie w swej rzeczywistej postaci, jeżeli i Luty podobny będzie do upłynionych już miesięcy i grubą warstwą śniegu pół nie pokryje, oddając je na łaskę i niełaskę niszczących wichrów marcowych, w chwili właśnie, gdy w ziarnie budzi się siła życia a źdźbło kiełkować zaczyna. We wsi niepokój a i miasto zadowolone zbyt nie jest, Brak lodu trwoży właścicieli browarów i panów restauratorów; fabryki zaś nie mogą nastarczyć lodu sztucznego miastu, mającemu przeszło sześćkroć sto tysięcy mieszkańców i jeśli tak dalej pójdzie—podczas największych upałów letnich, ust rozpalonych nie ochłodzimy ani maza granem ani porcją lodów.

Ta zima ciepła daje się też we znaki i amatorom sportu łyżwiarskiego. Topniejący lód na sztucznych i nie sztucznych sadzawkach, odbiera ochotę zabawie—a tu jedna i druga rysa się pokazuje jak na szkle pękniętem, trzask zaś powłoki cienkiej ostrzeża śmiałków, że słupów pod wodą niema.

A wieleż to zamiarów pięknych rozwiało się z powodu onej niestałości zimy!... Słyszeliśmy o niejednym mającym się odbyć kuligu, strojnym a hucznym, coś, niby tak, jak dawniej bywało— — lecz jeżeli słyszeliśmy o—pływaniu po piasku, o jeźdźeniu po nim saniami nie słyszeliśmy jeszcze. Ale—kto wie?... Żyjemy przecie w epoce wynalazków i to nie byle jakich... Zawiadomił nas o tem „Kuryer Polski.“

Z pierwszego zaraz numeru tego pisma dowiedzieliśmy się, że—że... nie mieliśmy dotąd wyobrażenia co to takiego jest—patryotyzm. Ta niewiadomość nasza jest wynalazkiem pana Straszewicza. Pragnąc więc zapobiedz temu brakowi, p. Straszewicz rozpoczął wykład na temat patryotyzmu.

Nam się zdawało, że to uczucie jest tak naturalne, iż w żaden sposób nauczonem być nie może. Z pokolenia na pokolenia przechodzi, wysysa się z mlekiem matczynym i—zanim dziecko w młodzieńca urosnie, do lat dojdzie, w których z różnych nauk się korzysta—już jest potryotą. Później życie i nauka wykształcają to uczucie, podnoszą lub obniżają jego poziom, świętość z niego robią, albo towar do sprzedania łatwy. Bądź co bądź—patryotyzm stał się przyrodzoną własnością człowieka, i kto a kto, tośmy nieraz z nim do czynienia mieli i ani marzyło nam się o mentorach. Ha—człowiecze! wielu się rzeczy nie spodziewasz jeszcze, które cię spotkać mogą. Naprzykład: byłeś dotąd przekonania, że Warszawa jest miastem miłosiernem i dobroczynnym nadmiernie. Ofiarność jej dotąd zakwestyonowaną nie została—ofiarnością tą utrzymuje się Szpitalik dziecięcy, rozwijają się kolonie letnie i tyle a tyle innych zakładów dobroczynnych. To, co Warszawa dawała i daje na cele różne, nazywaliśmy dotąd miłosierdziem, nie żalowaliśmy jej miana *dobrego miasta*, wiedząc nadto, że skarbów krezusowych nie posiada. Lecz oto różową przepaskę nam z oczu zdarł p. Straszewicz w „Kuryerze Polskim.“ „Warszawa jest miastem okrutnem“ powiada—i oto drugi wynalazek, który nas w zdumienie wprowadził.

A podstawa?

Podstawą był artykuł d-ra Kurca, że tyle a tyle jest biednych rodzin w mieście, z głodu mrących, którym byłoby można łatwo przyjść z pomocą, oddając resztki z obiadów, zlewki rosółów, które na śmietnik idą. Na wezwanie nie odpowiedziano jakoś i oto miasto—okrutnem zostało.

Co było powodem, że zacna myśl projektodawcy należnego odgłosu w społeczeństwie nie znalazła, podczas gdy wszystko ułożonem zostało, bo dość tylko zawiadomić było szanownego doktora, że „resztki owe, ja X. lub Y. ubogim przeznaczam,“ a już potrzebujący, sam, codziennie z garnuszkiem przychodzić będzie,—co było powodem tej obojętności ogółu, nie wiem—prawdopodobnie jednak trudność w pozostawianiu owych resztek, wprost, brak ich może, zawsze coś, co nie zasługuje na miano okrucieństwa. Ale wynalazki być muszą. Przechodzimy więc nad niemi do porządku dziennego i wspomnimy słów kilka, że oto, owo miasto okrutne, lada chwila rękę do nowego dzieła miłosierdzia przyłoży, wymagającego tak osobistego poświęcenia jako też i pieniężnych wydatków.

Maluczko, a przy warszawskiem Towarzystwie dobroczynności, powstanie *Towarzystwo opieki nad dręczonemi dziećmi*. Założycielką jest pani Chwatowa Salomea—statut Towarzystwa jest już opracowany i czeka tylko na zatwierdzenie władzy—komitet sporo już liczy członków i po zatwierdzeniu go przez władzę, wnet działalność swoją rozpocznie. Do komitetu wchodzi:

Panowie: książę Michał Radziwiłł, hrabia Wiktor Sołtan, sędzia Aleksander Moldenhawer, profesor A. Konopczyński, d-r Stanisław Markiewicz, d-r Józef Tchórznicki, Adam Wiśniewski.

Panie: Julja Konstantowa Górską, Walerya Marrené, Zuzanna Morawska, Józefa Gagatnicka, Helena Kuczalska, Szczęсна (Ludwikowa Bąkowska) i Salomea Chwatowa.

Wyliczyliśmy główne osoby, które, jako członkowie czynni, weszły do komitetu.—opuszciliśmy cały szereg członków zwyczajnych, którzy podpisy swoje już dali, jako też tych, którzy w razie urzeczywistnienia się myśli podjętej, podpisy swoje dać przyrzekli i poparcie zarazem. Mamy przed sobą Instrukcję dla sekcji „Ochrony dzieci“ przy Towarzystwie Opieki nad ubogimi i choremi dziećmi w Petersburgu, zatwierdzoną przez komitet Towarzystwa w dniu 9 Marca 1873 r.

Widzimy tam niepokonane prawie trudności, jakie ma do przewalczenia Towarzystwo rozciągające opiekę swoją nad dręczonemi dziećmi

przez rodziców, opiekunów, bony, nauczycieli i nauczycielki...

Z tymi ostatnimi dać jeszcze radę sobie można, lecz już trudniejsza sprawa, gdy w grę wchodzi rodzice sami. „W obec praw rodzicielskich i opiekunów, prawa członków Towarzystwa ostać się nie mogą. Członkowi Towarzystwa, jak zresztą każdemu obywatelowi Cesarstwa, służy prawo doniesienia właściwej władzy o okrutnem i zbrodniczem obchodzeniu się z dzieckiem. Innych praw osoba trzecia mieć nie może i wskutek tego nadzieje na pomyślną działalność sekcji pokładać należy w środkach materyalnych tej sekcji oraz autorytecie moralnym.“

Na pierwszym planie Instrukcja stawia „umiejętność obchodzenia się z ludźmi. Taktowne postępowanie jest wprost warunkiem kardynalnym, ztąd najpożądańszymi cechami każdego z członków sekcji podczas wykonywania obowiązków, winny być: ostrożność, oględność, miękkość w obejściu, brak porywczowości i skłonności do groźb i pogardliwości—zalety trudne do zastosowania na widok bezprawia i okrucieństwa.“

Trudne i z innych względów. Ludzie w ogóle nie lubią jeżeli ktokolwiek wtrąca się do spraw ich. Członek Towarzystwa przestępujący próg domu z myślą stawania w obronie choćby najbardziej udrażnionego dziecka — musi być przygotowany z góry na przyjęcie szorstkie, brutalne częstokroć, na wskazanie drzwi nieraz i słowa obrazy a jest obowiązany to wszystko z anielską cierpliwością przenieść. Można śmiało powiedzieć, że członkowie wspomnianego Towarzystwa będą musieli przejść przez szkołę cierpliwości. Cel piękny, wykonanie trudne, ale tylko w pokonaniu trudów rzeczywistość zasługuje się znajduje.

Niejednemu może nasunąć się pytanie, czy w istocie jest tyle dzieci udrażnionych, tylu rodziców niegodziwych, że aż wytwarzać potrzeba Towarzystwo opieki? Na to może odpowiedzieć statystyka wielkich stolic europejskich, w pierwszym zaś rządzie Londynu, gdzie „Towarzystwo“ z wielkim skutkiem działalność swoją rozpościera.

Londyn!... Warszawa!

Wiem, że duża różnica jest między miastem pięciomilionowym a mającym sześćkroćtysięcy mieszkańców. Lecz jeżeli w Londynie przestępstw podobnego rodzaju liczymy na tysiące, w Warszawie na setki. Według stawu grobla — lecz złe jest złem zawsze, czy się w jednostkach czy w dziesiątkach liczb przejawia.

Warszawa ze swoją 600,000 ludnością, musi być zaliczona do rzędu miast dużych. Nie są w niej ludzie ani źli więcej, ani dobrzy więcej — występki jest dosyć, o czym codziennie z „Gazety policyjnej“ dowiedzieć się możemy. Bez wyszukiwania, dowiadujemy się wypadkowo zupełnie o okrutnem obchodzeniu się rodziców z dziećmi. Inicytorka „Towarzystwa Opieki nad udrażnionymi dziećmi“ wraz z księciem Radziwillem odnalazła już dwoje dzieci pewnego kolejarza, z których starsza dziewczynka jest istną męczennicą. Nie dość, że kilkunastoletni dzieciak wszystkie porządki w domu robi, zamiata, pierze, obiad gotuje i t. p., które to wszystkie czynności są już nad siły dziewczęcia — lecz krom tego, jest katowana przez ojca — wdowca, bita codziennie, tak że jęki biednej ofiary niedają spokoju mieszkańcom kamienicy.

Możemy tylko pochwalić myśli zacnej projektodawczyni i życzyć z serca całego, by zawiązany komitet Opieki mógł jak najszybciej działalność swoją rozpocząć. Poparcia nie zbraknie, a okrutna Warszawa o fundusze się postara, bo bez nich najpiękniejsze projekty pobożnem życzeniem tylko będą.

Od wieków zamierzchłych trwa rasowa nienawiść pomiędzy germańskim, a słowiańskim szczeniem; od wieków zamierzchłych krzywdzonymi byli słowianie, krzywdzicielami Niemcy. Zdawałoby się, że lata nauki, postęp cywilizacji, w nienawiści tej powinny ogromny wylom zrobić, a tymczasem lud nie boi się sprawiedliwości przedwiecznej, która mu wymierzona będzie. Dość spojrzeć na stosunek dzisiej-

szych Niemców do nas w W. K. Poznańskim i Prusach Zachodnich, by przekonać się, że bezczelność, jaką odznaczali się niegdyś rycerze krzyżowi, i dzisiaj główną cechą Prusaków stanowi, że idee humanitarne, poczucie sprawiedliwości nie znane są głowom do pikelhauby stworzonym. Niedosć ślinie hakatystów, drażnienia przez osobistości wybitne najdroższych uczuć narodowych — ale dziś już Prusak w swoim własnym domu wstrętnie niegrzecznym gospodarzem dla gości się staje, tak, że każdy szanujący się Polak powinien Berlin omijać, każdy szanujący się kupiec warszawski obowiązany jest zerwać handlowe z Prusakami stosunki. Oto fakt świeży, nie udosobniony wcale, jak panowie Niemcy obchodzą się z gośćmi z Królestwa: Wiadomość czerpiemy z „Kuryera Codziennego.“

P. Robert Wilczyński kupiec, mieszkający w Warszawie (Leszno 17) jadąc do Prus został d. 27 Lutego 1797 r. aresztowany w Toruniu w przejeździe do Berlina. P. W. posiadał paszport i wszelkie legitymacje w porządku, mimo to, pod pozorem, że jest „emigrantem wybierającym się do Ameryki“ osadzony został najpierw w lochu na dworcu kolejowym, później przeniesionym do *Landsgefängnis* a ztamtąd do głównego więzienia (*Hauptgefängnis*). Stawiany był następnie przed znaczne oblicze sędziego śledczego i dopiero po dniach paru szykan i nieprzyjemności różnych wypuszczony na wolność. P. W. podał skargę do poselstwa rosyjskiego w Berlinie, skutkiem czego, żandarm (niejaki Raczkowski), który go zaarrestował i z więzienia do więzienia przeprowadzał — został przeniesiony na mniejszą stację. Ale oto w r. b. d. 8 Stycznia, pan W. w tymże samym Toruniu został znów aresztowany. Okazało się, że prokuratora, czując się dotkniętą w osobie żandarma wytoczyła Wilczyńskiemu sprawę o obrazę urzędnika i wysłała za nim listy gończe. Pan W. złożył kaucję i tym sposobem uwolnił się od pruskiej kary, czeka go jednak proces w wynikach swoim bardzo ciekawy, gdyż ciekawy jest akt oskarżenia.

Żałujemy mocno, że miejsce nam nie pozwala podać całego owego sławetnego aktu, parę jednak znaczących ustępów w dosłownem brzmieniu przytoczymy:

Gdy w Aleksandrowie żandarm zażądał paszportu Wilczyński odpowiedział: „Na co panu mój paszport i tak pan z nim nic nie zrobisz?“ Poszedł jednak paszport do biura, dokąd się udał Wilczyński i „w ostrym tonie“ (*schroffen Tone*) zażądał wydania paszportu. Tam na pytanie żandarma: „Dokąd jedzie?“ Odpowiedział: „Wszak można jechać dokąd się chce.“ Żandarm powiedział: że „jeżeli do Ameryki, to wykąpany wprzód być musi.“ Na to W. że „mógłby to uczynić w Rosyi, gdzie jest woda do woli“ — a gdy go żandarm odsunął od pulpitu — rzekł: „Nie zapominaj się pan zanadto, bo wszystko to opowiem konsulowi.“ Tem zachowaniem się okazał on pełniącemu obowiązki żandarmowi lekceważenie i brak uszanowania. (*Geringschätzung und Nichtachtung*). „Jest więc oskarżony, że w d. 28 Lutego 1897 r. w Toruniu na głównym dworcu kolejowym zobelżył (!) słownie żandarmu Raczkowskiemu.“

Przestępstwo przewidziane przez art. 185, 194, 196, kod. karnego.

Dowody:

Świadek żandarm Raczkowski w Toruniu.

Wnoszę:

1) o przeprowadzenie rozprawy głównej przed wydziałem karnym sądu krajowego (*Strafkammer des Landesgerichtes*)

2) o utrzymanie tymczasowego więzienia.

Prokurator główny Borbusch.

Toruń, d. 2 Stycznia 1898 r.

Przeczytawszy cały akt oskarżenia, zdaje nam się, że czytaliśmy jakiś urywek z libretta do operetki.

Ale cóż słyhać na bruku warszawskim?

Nie, a nie już wam o karnawale nie wspomnę, a zamiast zachodzić do sal ređutowych woleę o teatr zawađzić.

Pracowita, a uczciwa reżyserya p. Ładnowskiego, powoli ale stale podnosi poziom dramatycznego teatru naszego. Nie pamiętamy już od lat kilkunastu tylu sztuk oryginalnych, tylu nowości nam miłych. Import z zagranicy zmniejsza się stale, autorzy swojscy widzą dla siebie coraz więcej pola do pracy, bieżący zaś tydzień zapowiada wprost rzecz zdumiewającą, nie bywała prawie w dziejach Teatru Rozmaitości.

Oto ni mniej, ni więcej, tylko tydzień cały wypełnią sztuki *originalne*, nie *tlomaczone* — nie!

Czy dacie wiarę?

Ujrzymy więc, cieszącą się stałym powodzeniem i wypełniającą teatr krotochwile Głińskiego „Szaławilę“ dalej, po raz siedemnasty, „Dla dobra ogółu“ Jordana, później „Gąsienice“ Komara, „Przyjaciółkę żon“ Lubowskiego i „Jowialskiego“ Fredry. „Szaławila“ trochę krwi popsuł teatralnym recenzentem naszym, jakiś pan Ludwik Mir... w „Wędrowcu“ życzył nawet, ażeby sztuka zeszała z repertuaru, albowiem jest — *pornograficzna*. O pornografii jej dowiedzieliśmy się także i z „Przeglądu Tygodniowego“ — lecz ktoby „Głos“ naprzykład przeczytał — dowiedziałby się, że nawet w lekkiej a swawolnej krotochwili widną jest *czystość duszy autora*.

A to co? tam pornografia, a tu czystość duszy? Czytelnik nie znający sztuki — nie wie sam, co ma o niej sądzić... Tak! ale wie, co ma sądzić o recenzentach naszych, których sława literacka mokotowskich nie przekroczyła rogatek.

Zaledwie nowy prezes teatrów urzędowanie objął, już rządy jego ujawniły się bardzo dobrem rozporządzeniem, z wracającą uwagę pań na niewłaściwość używania kapeluszy w Teatrze. Uwaga poskutkowała. Na dzień następny zaraz zjawily się panie bez tych okrywek głowy i, dalibóg, że było im daleko lepiej i ładniej w koronie warkoczów. Płeć brzydka podwójnie czuje wdzięczność: po pierwsze: że może zachwycać się pięknym kształtem główek niewieścich nie psowanych przez ronda, półronda i ćwierć ronda dziwacznych kapeluszy, po wtóre: że owe, piramidalne nieraz ozdoby główek, nie zasłaniają już sceny, na której, bądź co bądź, chce i mężczyzna coś dojrzeć.

Na zakończenie wspomnieć muszę o paru wydawnictwach doby ostatniej. Mamy na myśli dwie książki: pierwsza „Sztuka Aktorska“ Józefa Mikulskiego, rzecz z wielu względów godna uważnego odczytania i „Wacława Rolicza-Liedera wierszów księgi pierwsze, drugie i trzecie, powtórnie wydane w Krakowie roku MDCCLXXXVIII.“ Mamy dopiero zeszyt pierwszy — nie więc nie możemy o całości powiedzieć. Zaznaczymy tylko, że wydawnictwo poezyi jest przepyszne i zewnętrzną stroną swoją ozdobą każdego salonu być może.

??

Ruch niewieści w Niemczech.

(NOTATKA HISTORYCZNA).

(Dokończenie).

III.

Marzyć o studiach uniwersyteckich, wolno każdemu; przystąpić wszakże do nich może ten tylko, kto wykaże dostateczne wykształcenie przygotowawcze. Prosta ta zasada, stała się poważną zaporą w rozwoju wiedzy niewieściej, nietylko w Niemczech, lecz w całej Europie. Wszędzie jednostki wybitniejsze garnęły się do światła, lecz wszędzie, w locie tym, brak szkół i środków podcinał im skrzydła.

Kłatwa połowiczności zawisa i wisi dotąd nad bardzo powierzchownym wychowaniem niewieścieści. Aby ją usunąć, aby umyślnie dojrzalszymi uczynić, należało szkoły dla dziewcząt z gruntu zreformować, równocześnie zaś otworzyć nowe, wyższe zakłady.

Ponieważ z tych ostatnich słynie dotąd Anglia jedna, więc też cesarzowa Fryderykowa, prześlągnięta wpływami Albionu, sprowadza z dawnej swej ojczyzny miss Georginę Archer i poleca jej założenie wyższej szkoły dla dziewcząt, pod nazwą *Victoria-Lyceum*. Postawione pod protektoratem najbardziej wpływowych osób, zaopatrzone w najkosztowniejsze środki, lyceum to znajduje się obecnie w pełnym rozkwicie, a służy, urządzeniami swemi, za wzór dla innych, prywatnych zakładów, dzwignionych, w Lipsku, przez D-r Henrykę Goldschmidt, w Kolonii, przez Linę Schneider, w Wiedniu i Wrocławiu, przez Amalię Thilo.

Myśl wszakże gruntownej reformy w ogólnym systemie wykształcenia dziewcząt, podniosła dopiero i przeprowadziła Ludwika Büchner, z Darmstadt'u, która postawiła, jako najgłośniejszy postulat, gruntowność i logikę w wykładach naukowych dla kobiet.

Założony przez Augustę Schmidt i Maryę Calm „Ogólny związek nauczycielek,” znacznie w reformie tej dopomógł.

Równocześnie, Joanna Mithéne zabezpieczyła starość dla weteranek pedagogii, przez ufundowanie, w Steglitz, własnego ich przytułku.

Aby wreszcie obudzić, wśród szerokiego koła wychowawczyń, poczucie większej samoistności i potrzeby ciągłego kształcenia się, założono organ *Die Lehrerin*, redagowany przez panią Loeper-Housselle, a wydawany przez Teodora Hoffmann'a, w Gera.

Środki te wszakże, mogły oddziaływać tylko, na nieliczną część niewieściego świata pedagogicznego. By więc wpływ ich uczynić wszechpoteźnym, by zespolić współdziałanie domu i szkoły, stan zaś nauczycielski podnieść do godności, samoistnej a ogólnie szanowanej korporacji, zakłada Helena Lange: „Powszechne stowarzyszenie wychowawczyń,” ze zorganizowanymi odrazu związkami pomocniczymi, we wszystkich większych miastach Niemiec.

Jeżeli, dzięki odczytom, artykułom i umiejętności, a niezmordowanej agitacji, umiała dokazać tego jedna kobieta, to czyż nauczycielki nasze nie mogłyby wstąpić w jej ślady? Wiemy, iż część ich grupuje się dokoła „Przeglądu pedagogicznego,” że inne znajdują punkt oparcia w warszawskim „Schronieniu,” czy jednak dwie te, ze wszechmiar pożyteczne instytucje, wpływają na los nauczycielek, pracujących: w Kaliszu, Lublinie lub Żytomierzu? Bynajmniej. Doła ich jest tam również krwawą i bolesną, jak przed 50-u laty. A więc, nowe to pole do działania, dla pań obdarzonych inicjatywą i dobrą wolą; dla tych, które widzą w kwestyi niewieścieści, nie majaki emancypacyjne, lecz sposobność do poprawienia losu kobiet samotnych, ubogich, a wyzyskiwanych.

Związki niemieckie pomyślały i o rodaczkach swych zagranicą. Helena Adelman założyła dla nich w Londynie, kasę pomocy, schronisko i pismo p. t. *Der Vereinsbote*. Marya Niggin-Kornneburg i prof. Wendt, redagują w tym celu, w Wiedniu, miesięcznik: *Die Neuzeit*.

Cała ta jednak, pożyteczna działalność, na gruncie dozwolonym, rozbijała się o zawziętość, z jaką rząd niemiecki bronił kobietom przystępu do wykładów uniwersyteckich. Napróżno kołatanem do poszczególnych sejmów i parlamentu związkowego; zakaz pozostawał niewzruszonym. Napróżno panie Lemus i Tiburtius, doktorzy medycyny, wykształcone we wszechnicach szwajcarskich, wykazały, iż w założonej przez nie poliklinice berlińskiej, 20.000 kobiet szukało w krótkim czasie porady. Nawet 100.000 marek, zapisanych przez jedną z filantropki uniwersytetowi w Heilderbergu, z warunkiem, aby wzamian otworzył wykłady swe dla kobiet, odrzucone zostały. Wtedy, przeznaczwszy sumę ową, na zapomogi dla studentek, kształcących się w Szwajcaryi, zorganizowano na wielką skalę

agitację, mającą obalić ograniczenia te i zakazy.

W 1886 zostaje założone nowe stowarzyszenie, pod nazwą „Reforma.” Komitet jego stanowią: pani J. Kettler z Weimaru, hr. Gertruda Bülow von Dennewitz, z Drezna, Jadwiga Dohm z Berlina, Hulda Friederichs, z Londynu, pani Engell-Günther, z Locarno, Anna Marsch, z Berlina, D-r Marya Schneegans, z Elberfeldu, Irma von Troll-Borostiani, z Salzburga i Marya von Weissenthurn, z Wiednia.

Umyślnie wymieniamy założycielki, aby wykazać, iż prąd ów silny, żądający jak najrozleglejszej wiedzy dla kobiet, zrodził się równocześnie we wszystkich punktach Germanii.

Za cel związku postawiono:

1) Zakładanie gimnazjów dla dziewcząt, z planem równoległym gimnazjom męzkim.

2) Żądanie, by rządowe świadectwo dojrzałości otwierało przed abiturientką podwoje wszystkich wszechnic i uniwersytetów.

3) Wyrobienie prawa, które pozwalałoby kobietom, zbrojnym w dyplomy, uniwersyteckie, na wykonywanie obowiązków swego zawodu.

W 1888 r. powstaje, pod przewodnictwem pani Cauer, stowarzyszenie *Frauenwohl*, które przyzwawszy do pomocy D-ra Franciszkę Tyburtius i Helenę Lange, zakłada gimnazjum realne dla dziewcząt, a uzyskawszy współdziałanie berlińskiej akademii Humboldta, postanawia kierować wychowaniem swe, głównie na drogę naukową.

Przygotowawszy w ten sposób grunt pod nowy zasiew, należało zdobyć teraz poparcie państwa i prawa.

Połączone związki i stowarzyszenia niewieście, zaczęły szturmować corocznie, do sejmów i parlamentów, o równouprawnienie naukowe dla kobiet. W 1890 r. kwestya ta przepadła, w sejmie Rzeszy związkowej, tylko dwoma głosami (10 przeciw 8 głosów). W 1891 r. przemawiali za nią gorąco, w parlamencie berlińskim, posłowie: Schreder, D-r Harmening, August Bebel, Riekert i Wisser.

W sejmie baadeńskim, dzięki mowom posłów: Schlüsser'a, Arnsperger'a, Rüdta, Kiefer'a i Muser'a, petycja o równouprawnienie naukowe kobiet, została przez Izbę przychylnie przyjęta i przekazana rządowi do załatwienia.

Wskutek tego, stowarzyszenia niewieście złożyły zeszłej jesieni parlamentowi berlińskiemu nową petycję, podpisaną przez 51,696 kobiet. Żąda ona: 1) Równouprawnienia naukowego; 2) Rewizji kodeksu cywilnego, w punktach dotyczących praw kobiet.

Równocześnie, wydano w osobnej broszurze, wszystkie zakwestyonowane artykuły owego kodeksu, wraz z pożądanymi w nich zmianami.

Treściwa powyższa notatka, nie wyczerpuje, rzecz prosta, historii ruchu niewieściego w Niemczech. Zestawia ona tylko, wytyczne jego punkta. Zaznaczyć wreszcie należy, iż po za prawami czysto niewieściami, po za dążnością do polepszenia doli kobiet, feminizm niemiecki ma jeszcze zwrócone oczy na doniosłe kwestye ogólnie - ludzkie: etyczne, społeczne i kulturalne; że od propagandy pokoju i ogólnego rozbrojenia, na czele której stoi słynna baronowa Berta von Suttner, aż do kwestyi moralności publicznej, żadna sprawa mogąca wpłynąć na rozwój cywilizacji i dobro ludzkości, nie uchodzi jej uwagi.

Od kolebki, aż do grobu, wszelkie stadya w życiu kobiety, a szczególnie ubogiej i wydziedziczonej, stanowią żywą troskę stowarzyszeń niemieckich. Dla biednych: chleba i pracy uczciwej, współczucia i pojęcia swoich obowiązków; dla zamożnych: wiedzy i ideału w sercu, któryby je ocalił od czczego życia lalek salonowych. Oto czego pragną przodowniczkami tego ruchu. Sieć zaś stowarzyszeń ręką ich zawiązanych, szerzy idee te, światło i opiekę, zaczawszy, od nory, gdzie kryje się wpół dzika, zwyrodniała nędza, aż do progu pałaców i wrót wszechnic naukowych.

A wszędzie, na sztandarze wytrwałych, owych pracownic, widnieje jedna tylko dewiza: Uszlachetnienie rodu ludzkiego.

Książka pani Morgenstern, obejmująca dwa grube tomy, in 4-o, a wypełniona danymi statystycznymi cyframi i datami, nie da się streścić tak łatwo. Stąd też, wyjąłmy z niej tylko wytyczne szczegóły, dotyczące rozwoju kwestyi niewieściej w Niemczech. Wyjąłmy je zaś dlatego, iż zdają się one zawierać niejedną wskazówkę, którą na gruncie naszym zużyć by można.

Nie ulega wątpliwości, z jednej strony, że łączność stanowi siłę, z drugiej, że u nas w kwestyi kobiecej dużo się mówi, lecz nic, absolutnie nie się nie robi.

„Emancypacja,” „feminizm,” to do tej pory, dla większości przynajmniej, jakieś dzikie straszki; coś co zarywa o niewłaściwe krzykactwo, o śmieszne urojenia wyższości lub berety doktorskie. Przewyżka kilkudziesięciu tysięcy kobiet, jakie Warszawa sama posiada, nie zastanawia wcale sióstr ich zamożnych, opływających we wszystko. Co robi ta legia, czem żyje, jaki jest stan jej moralny, obyczajowy, umysłowy, to niewiele obchodzi szczęśliwe wybranki losu. Płacą one składkę Tow. Dobroczyńności, dadzą czasem coś na nędzę wyjątkową, gdy siostra miłosierdzia natrętnie od progu odejść nie chce, lub wspomogą kogoś z ubogiej rodziny. Czyż to nie dosyć? Czy nie dosyć? powtarzają, patrząc na nas zdziwionymi oczami.

A więc nie, to nie dosyć! Mamy odwagę powtórzyć głośno i jawnie: To nie dosyć! Nikt nie ma prawa, rozporządzać naszym majątkiem; ruch niewieści nie żąda też i nie pragnie ofiar pieniężnych, bo jałmużna nie leczy choroby społecznej i nie rozstrzyga kwestyi. Dlaczego jednak, kobiety pełnoletnie, nieobarczone obowiązkami ani pracą na chleb, nie zatroszczą się o stronę moralną, o przyszłość tych, które los w mniej pomyślnych postawił warunkach? Wszak do nich należy tu inicjatywa, one jedne posiadają możność działania. A pole do niego szerokie: od chaty wieśniaczej, od poddasza szwaczki lub suteryny wyrobniczy, wszędzie roi się od opuszczonych dzieci, od tych, które pracą zdobywają kawałek chleba, lub nie pozyskawszy go w sposób uczciwy, idą na złą drogę.

Armia ta pracownic, walką o byt, o życie pełnana, zalewa: sklepy, fabryki, magazyny, warsztaty. A wszędzie biedna, źle do zawodu swego przygotowana, wyzyskiwana, niepewna jutra, stanowi proletaryat istny, dla złych podstępów, często bardzo podatny.

Czy nie jest obywatelskim obowiązkiem kobiet bogatych a niezależnych, nieść w te szeregi: myśl jasną i zdrową, polepszenie bytu i, na wykształceniu opartą, pełną samowiedzę człowieczą. Wyliczyliśmy umyślnie, główne stowarzyszenia niemieckie. Biorą one tam kobietę w opiekę, od chwili urodzenia nieledwie, aż do dnia śmierci, a starają się uczynić z niej: dzielną, fachowo uzdolnioną pracownicę, dobrą żonę i matkę, rozumną podporę kraju i rodziny.

Powtarzamy: Łączność stanowi siłę, aby ją więc dla ubogich i pracujących zdobyć, czy nie dałoby się pomyśleć o założeniu, na drodze jawnej, legalnej, niektórych stowarzyszeń, ułatwiających światu niewieściami zdobycie pracy, wykształcenia i cichego kąta na starość. Wiemy, iż projekt kasy pomocy pewnej kategorii pracownic, złożony został do zatwierdzenia najwyższej władzy kraju. Czy jednak, w kierunku tym, z ustawami miejscowemi zgodnym, nie dałoby się zdziałać coś więcej? Wszak miasto nasze o 600,000 ludności i bardzo znacznej nadwyżce liczebnej kobiet, nie zrobiło dotąd, dla tego legionu pracownic, nic, absolutnie nic. Brak im wszystkiego: od stypendyów dla uczących się, od bezpłatnego biura rekomendacji pracy, a kasy pożyczkowej w razie choroby lub nieszczęścia, od popularnych odczytów i wykładów, aż do wspólnych domów, w którychby, za tanie stosunkowo pieniądze, większy dobrobyt pozyskać mogły,—brak im wszystkiego, wszystkiego.

Inicjatywa podobnego uspołecznienia, musi wyjść od tych, które czasem swym dowolnie rozporządzają, a więc od tych, którym, obok

niezależności majątkowej, dał Pan Bóg serce czujące i głowę do szerszej myśli zdolną. Aby zaś zastrzeżenia te nasze nikogo nie dziwiły, nadmieniamy, iż w ostatnich latach dwudziestu, kraj nasz słyszał o jednej tylko ofercie, 20,000 rs. poświęconej na ołtarzu sprawy niewieściej. Złożył ją wszakże *mężczyzna*, pan Łojko, na rzecz mających się z czasem otworzyć kursów uniwersyteckich, dla kobiet w Warszawie *)

Anatol Krzyżanowski.

Alfons Daudet.

Zmarły w d. 16 Grudnia r. z. Alfons Daudet urodził się 13 Maja 1840 r., jako syn fabrykanta fularów. W r. 1856 przybył do Paryża, gdzie po czterech latach dobił się współpracownictwa w „Figarze.“ Po wydaniu dwu zbiorów poezji: „Les Amoureuses“ (1857) i „La Double conversion“ (1859), napisał szereg opowiadań, zebranych p. t. „Le roman de Chaperon Rouge“ (1861), tworzył nie bez powodzenia dla sceny: „La Derniere idole“ (1862) „Les Absents“ (1863) „L'Oeillet blanc“ (1864) „Le Frère ainé“ (1868) „Le Sacrifice“ (1869) „Lise Tavernier“ (1862) „L'Arlesienne“ (1872), wreszcie zwrócił się ku powieści, która go miała uwiecznić najtrwalszym wawrzynem. Po wydaniu zbioru prześlicznych nowel „Lettres de mon moulin“ (1866) Obrazy z życia Prowancji „Le Petit Chose“, „histoire d'un enfant“ (1868, jego autobiografia) „Lettres d'un absent“ (1871) „Les Aventures prodigieuses de Tartarin de Tarascon“ (1872) „Contes de lundi“ (1873 Obłężenie Paryża) „Robert Helmont“ (1874), napisał w r. 1874 pierwszą znakomitą powieść: „Fromont jeune et Risler ainé“, w tym rodzaju co „Le Petit Chose“ utrzymaną. W roku 1878-ym ukazał się „Jack, histoire d'un ouvrier“ (Dwa tomy — życie w dzielnicy Marais); dalej „Le Nabab“ (1876. życie i czyny znakomitości z czasów drugiego cesarstwa) „Les rois en exil“ (1879—Pobyt w Paryżu wygnanej i elizyjskiej rodziny królewskiej) „Numa Roumestan“ (1881 Historia ministra (Gambetty?), który zawłada opinią publiczną i zawodzi ją) „L'Evangeliste“ (1883 Dzieje życia ewangelistki, młodego dziewczęcia, które fanatyzmem swoim zmusza towarzyszkę do porzucenia matki) „Safo“ (1884 z poświęceniem „pour mes fils, quand ils auront vingt ans.“ „Tartarin sur les Alpes“ (1885) „La Belle Nivernaise, histoire d'un vieux bâton et de son equipage“ (1886) „L'Immortel“ (1888 pamflet na Akademię) „Petite Paroisse“ (Historia z życia wiejskiego) „Port Tarascon“ (1870 Ostatnia przygoda Tartarina) wreszcie „Rose et Ninette“ (1892 charakterystyka dwojga dziewcząt, których rodzice rozeszli się. W r. 1887 wydał Daudet ze swego życia: „Trente ans de Paris.“ Wskutek ciężkiej choroby zmuszony był w ostatnich latach ograniczyć piśmienniczą działalność swoją.

Daudet jest realistą, w innym wszakże rodzaju niż Zola. Umie on z niepospolitym wdziękiem odtwarzać obrazy z życia wzięte, jest przytem mistrzem charakterystyki. Najlepszą i najświetlejszą sylwetkę Daudeta daje Anatol France: „Styl Daudeta jest stylem gawędziarza stylem giętkim, barwnym, świetnym, wesołością lub ukrytą łzą drgającym, stosownie do potrzeby i upodobania autora. Niekiedy oddzielne zdanie urywa się nagle, a wtedy czytelnik czuje, że w ten miejscu autor musiał uśmiechnąć się lub machnąć pogardliwie ręką. W języku Daudeta znajdujemy pełno słów nowo-utworzonych, każde z nich jednak jest owocem długiego na-

mysłu. Daudet jest jedynym dziś może pisarzem we Francji, który jednocześnie zająć, rozrzewnić i podobać się może a dzieje się to głównie dzięki temu, że autor „Jacka“ ma w duszy wszystko, co najlepszego wytworzyły czasy nowe: Szacunek i przyjaźń dla życia, współczucie dla bólu ludzkiego, poszanowanie praw osobistych każdego człowieka bez względu na wiek i stanowisko społeczne, zamiłowanie w wyszukiwaniu cnót utajonych, wreszcie odczuwanie tych drobnych drgnięć serca ludzkiego, których nie znać w ciężkiej walce o byt.“

Wł. N.

ALFONS DAUDET.

ŚLIWKI.

Jeżeli wiedzieć pragniecie,
Jakośmy się pokochali,
Opowiem wam to w sekrecie
— Jeżeli wiedzieć pragniecie —
Było to, pamiętam, w lecie.
Kiedy słońce żarem pali...
W krótkich słowach się dowiecie,
Jakośmy się pokochali.

Mój stryj miał wielkie ogrody...
Ja kuzynkę tylko miałem...
A krew wrzała w piersi młodej
— Mój stryj miał wielkie ogrody —
Ptactwo śpiewało w zawody
Pieśń, miłości wrzącą szalem...
Mój stryj miał wielkie ogrody...
Ja kuzynkę tylko miałem.

Raz—pamiętam—w chwile wolne,
Igraliśmy razem z Maryą.
Jak dwa dzieciaki swawolne...
Ach! pomnę te chwile wolne!
Świerszcze i koniki polne
Wesołą nuciły arya...
Raz—pamiętam—w chwile wolne,
Igraliśmy razem z Maryą.

Biegły ku nam z każdej strony
Pieśni drużyny skrzydlatej,
Śpiewane na różne tony...
— Biegły ku nam z każdej strony—
Na łąk powierzchni zielonej
Drobne bielily się kwiaty...
Biegły ku nam z każdej strony
Pieśni drużyny skrzydlatej.

Jak kwiat płonie buziak świeży...
Tak urocza! tak zalotna!
Drobne ząbki w śmiechu szczerzy...
Jak kwiat płonie buziak świeży
To stanie—to znów pobieży—
To skoczy jak fryga zwrotna...
Jak kwiat płonie buziak świeży!
Tak urocza! tak zalotna!

Wtem kuzynka się zatrzyma
Przy śliwkach i patrzy z chętką
Chciwemi na nie oczyma...
— Wtem kuzynka się zatrzyma —

Toż nic zdrożnego w tem niema!
A więc kilka zrywa prędko...
Wtem kuzynka się zatrzyma
Przy śliwkach i patrzy z chętką...

Kosztuje jedną na próbę
I, dając mi ją:— „Masz“—rzecze...
Serce drży mi, czując zgubę...
— Kosztuje jedną na próbę —
Zostały w niej ślady lube
Jej ząbków ostrych, jak miecze...
Kosztuje jedną na próbę
I dając mi ją:— „Masz!“—rzecze.

Oto wszystko! Czyż nie dosyć?
Owoc wiele mi powiedział.
Długo nie dałem się prosić
— Oto wszystko! Czyż nie dosyć?—
Wpiłem usta — tego głosić
Nie trzeba—w jej ząbków przedział...
Oto wszystko! Czyż nie dosyć?
Owoc wiele mi powiedział.

Więc, moje panie już wiecie,
Jakośmy się pokochali
— Zwykle tak bywa na świecie —
— Więc moje panie już wiecie —
Jeżeli która z was przecie
Nie chce wierzyć, lub nie chwali —
Tem dla niej gorzej! Już wiecie,
Jakośmy się pokochali.

Przełożył z francuzkiego
Władysław Nawrocki.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-eh częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

IV.

Po sejmie konwokacyjnym spokojna szlachta rolnicza, która nie życzyła sobie żadnych zaburzeń w kraju, postanowiła zjazd, w celu zaprzysiężenia pod gardłem i uczciwością pokoju, zgody, wolności wyznań, zachowywania praw, bezpieczeństwa własności i poszanowania wszelkich urzędów; był to protest, wymierzony przeciwko gwałtom Zborowskich i Górki. Kilka już takich zjazdów odbyło się po województwach; zapewnienia potwierdzone były uroczystymi pismami, a ktokolwiek by je przelamał, miał być gardłem karany. Naturalnie, mogło to być tylko stosowaniem do szlachty, a nie do takich, panów jak marszałek nadworny lub wojewoda poznański, którzy otoczeni licznymi zbrojnemi pocztami, nie obawiali się surowości prawa.

Pan Jan po opuszczeniu Bobrowic,—skierował się ze swym oddziałem w stronę Lublina, a że miał polecenie od starosty śniatyńskiego zakupu koni dla wojska, a zarazem wybadania przy tej sposobności, co myśli okoliczna szlachta o kandydaturze do tronu arcyksiążąt rakuzkich, więc też starał się spełnić podrodze jedno i drugie. Przekonał się jednak że w tych okolicach arcyksiążęta mogli liczyć na bardzo niewiele stronników, i jeżeli nie wszystka szlachta była tak

*) Galicya szczęśliwsza, pozyskała na cel podobny, wielki zapis ś. p. Przedzrymirskiej

nienawistnie usposobił na, jak chorąży, dla partyi Zborowskich, jednakże gwałty popełniane przez tę partyę nie przyczyniały się wcale do jej popularności.

Dopełniwszy tego, co mu było poleconem, pan Jan zwrócił się do Szczebrzeszyna, zamku, należącego do wojewody poznańskiego, u którego obecnie bawił pan Jazłowiecki, wraz z kilku jeszcze panami.

Wspaniały i obronny zamek pełen był więc w tej chwili ruchu i gwaru.

Na dziedzińcu uwijali się hajducy i służba, a po krążgankach zamkowych snuli się dworzanie, odziani w barwy wojewody, oraz Zborowskich, Jazłowieckich i Stadnickich.

W wielkiej sali, o sklepieniu, wspartem na potężnych filarach, przy stole zastawionym srebrnym i złotem naczyniem, siedziało czterech biesiadników.

Na pierwszym miejscu siedział pan Andrzej Zborowski, marszałek nadworny, nie młody już człowiek, o obliczu wyniosłem, pochmurnem i pobrużdżonem namietnościami; często, w ciągu rozmowy odbijał się na niem wyraz gniewny i zapalczywy, zwłaszcza gdy mówiono o wielkim hetmanie. Po lewej ręce siedział jego siostrzan, Stanisław Stadnicki, starosta zygwulski, po prawej zaś sam gospodarz domu Stanisław Górka, wojewoda poznański. Mała, garbata jego postać niemal ginęła w wysokiem, rzeźbionem krześle z poręczami. Na twarzy, dziwnie niemiłej, igrał wciąż prawie uśmiech dowcipny i złośliwy; chwilami śmiał się śmiechem cichym i syczącym, który słuchających przejmował chłodem. Nic też dziwnego że włościanie zegnali się jak od dyabła, widząc go przejeżdżającego, a on zdawał się cieszyć z tego, że budził taką obawę. Mimo to jednak miał dosyć miru u szlachty, którą lubił ugaszczać suto, sypiąc przytem hojnie dowcipami.

Naprzeciwno, jakby dla sprzeczności, siedział mąż średniego wieku, pięknie zbudowany, urodziwego i wspaniałego oblicza, na którem, obok dumy wielkiego pana przebijająca się dusza śmiała, chciała wielkich przedsięwzięć, której jak dla orla stepowego, potrzeba było szerokich przestrzeni i walk nieustannych. Był to Mikołaj Jazłowiecki, starosta śniatyński, oddawna już obrońca granic na południowych kresach, wielki przyjaciel Niżowców, do których w czasie rozmaitych nieporozumień z Rzeczpospolitą, bywał zwykle delegowany dla zawarcia zgody, marzący o tem by przy ich pomocy zawojować Krym u Tatarów, — a gdy w kilka lat potem marzenia te rozbiły się o różne przeszkody, nie zdołał znieść tego ciosu i umarł. Obecnie powierzone mu na sejmie straż Kamieńca, lecz elekcyja ściągnęła tego kresowego rycerza w głąb kraju, niezadowolona zaś ambicja uczyniła go stronnikiem Zborowskich.

Pan Andrzej Zborowski — zdawał się być wielce wzburzonym, bogatą delię zrzucił z siebie, jak gdyby mu w niej było zaciasno i wstawszy od stołu, — przechadzał się po sali, — nie mogąc usiedzieć na miejscu.

Stadnicki — patrząc nań czas jakiś, — rzekł wreszcie:

— Usiądźcie lepiej wuju i wypijcie kielich wina na uspokojenie, z życzeniem by już Zamojskiego prędzej dyabli wzięli. — Prędzej to ponoś nastąpi, niż on się spodziewa.

— Ha, wam to najlepiej wiedzieć, — rzekł Górka ze złośliwym uśmiechem.

— Chcieliście powiedzieć, panie wojewodo, że z dyablami jestem w komitywie? — przerwał Stadnicki. No, tak przynajmniej ludzie gadają, choć kto z nas dwóch kiedyś zasiądzie bliżej Lucypera, to jeszcze widłami pisane.

— Mnie już dawno biskup Uriel wróżył zagładę i karę niebios na ród nasz, — rzekł z szyderstwem Górka, ale jakoś sam pierwej wyniósł się na tamten świat.

— A mnie Dominikanie z Łańcuta, gdym ich wypędził z klasztoru, — przepowiedzieli że ogień niebieski mię pochłonie, — dorzucił ze śmiechem Stadnicki.

— Mości panowie, — ozwał się na to Jazłowiecki, gdy chcecie popisywać się dowcipem tedy

obierzcie sobie jeśli łaska, inny przedmiot, niż nasza religia i duchowieństwo, gdyż tego nam obu z marszałkiem jako katolikom, słuchać się nie godzi.

A marszałek nadworny, który jedyny ze Zborowskich był gorliwym katolikiem, — rzekł również z naganą do Stadnickiego:

— Słusznie mówi starosta śniatyński i ty Stanisławie mogli byś zaprzestać tych nieprzystojnych żartów i drwin.

Stadnicki przygryzł usta i umilkł, a Górka rzekł doń półgłosem, ze złośliwością.

— Pan starosta śniatyński dlatego taki zelant, bo chciałby żeby ludzie o tem zapomnieli, że jego ojciec był kalwinem.

— Biedak boi się biskupów, — dodał również cicho Stadnicki, szyderczo trochę spoglądając na Jazłowieckiego, który spokojnie zniósł jego spojrzenie i zapytał po chwili marszałka:

— Więc brat wasz, mości marszałku niebawem przybywa z Ołomuńca?

— Tak, w siedemset koni, — odrzekł Zborowski.

— No, już teraz chyba siła po naszej stronie, — zawołał Stadnicki. Wojska w każdym razie będziemy mieli więcej niż Zamojski; przytem u niego ponoś pustki w szkatule, a cesarski skarb nie wyczerpany; ile zechcemy, tyle zaciągniemy żołnierza za granicą. Wtedy i panowie szlachta, stronnicy jego, inaczej zaśpiewają na elekcyi, skoro ich zewsząd obstawimy wojskiem Stanąć oko w oko z działami, to zaraz wyrównywa wszelkie różnice w zdaniu. — Jak myślicie, panie wojewodo?

— Myślę że nie ma zbawienniejszego połączenia nad moje biesiady wraz z armatami pana Andrzeja, — odrzekł wojewoda poznański drwiąco; i jedno i drugie robi szlachtę powolną jak baranki...

— Jednakże znajdują się tacy, co nie dadzą się przekonać ni jednym i drugim, — rzekł po chwili Stadnicki. Pan kanclerz umie sobie ujmować ludzi, czego dowodem przejście na jego stronę starosty sanockiego.

Po twarzy Górki przemknął niedocieczony uśmiech.

— Widzę miły starosto żeście nie doróśli do tego by zasiadać w senacie piekielnym, — rzekł wreszcie. Jesteście tak sobie, zwyczajnym, podrepczym dyablem, dobrym do użycia w podjazdach, ale dyabelskiej polityki jeszcze nie znacie...

I zaśmiał się swym cichym, syczącym śmiechem.

— Co, więc może pan Spytek Jordan nie szczerze służy Zamojskiemu? — zawołał Stadnicki, nieco obruszony słowami Górki. Tak sądzicie?

— Ja sądzę tylko, miły starosto, że lichy z was dyabeł, — powtarzam to, — jabym was nawet na woźnego piekielnego nie przyjął.

— Dziś uwzięliście się drwić wciąż wojewodo! — zawołał Stadnicki. Ani jednego słowa statecznego wydobyc z was nie można!

— Sza! miły starosto, — uspokajał go Górka z uśmiechem; — jesteście obaj dyabły, to nie kłóćmyż się między sobą, bo i tak nie mało nad nami wisi niebezpieczeństwa; ksiądz biskup Solikowski egzorcyzmami nam grozi.

— Niema o to obawy, — rzekł Stadnicki, — mamy nuncyusza i prymusa, to na egzorcyzmy znajdują się egzorcyzmy. — Ot, pan starosta śniatyński, — dodał, — obracając się ku Jazłowieckiemu, ten na dwóch stolkach siedzi, wszędzie ma sprzymierzeńców — i w niebie, i w piekle...

— Raczej obawiać się należy by ich i tu i tam nie stracił, — rzekł Górka, bo dyablem szczerze, jak my, nie został, a i do świętych zaliczyć go nie można.

— Mości wojewodo i wy, panie starosto, — rzekł Jazłowiecki z przyceiskiem, wy trzymacie się takiego modus vivendi jaki dla was najodpowiedniejszym się wydaje, — pozwólcie i drugim czynić to samo. — Słyszałem, — dodał dumnie, wyrażony półgłosem zarzut, jakoby się bał, — otóż powiem wasznościom, że boję się tylko własnego sumienia, a więcej nikogo i niczego.

— Teraz nie czas na przymówki, — ozwał się

pan Andrzej Zborowski, — musimy połączyć wszystkie siły by na elekcyi utrzymać się przy swoim...

— Tak, tak, — potwierdził wojewoda, a na zgodę wypijem jeszcze węgryna.

Pokojowcy, — stojący ze krzesłami biesiadników, naleli ze srebrnych dzbanów pełne kielichy.

Andrzej Zborowski — mówił dalej ze wzrastającym wzburzeniem:

— Pan kanclerz nie chciał przyjąć naszych warunków, przedstawionych mu na konwokacyi, pan kanclerz dufa w swoją potęgę — obaczmyż kto potężniejszy; zmierzmy się z sobą! Jeszcze krew naszego brata, zamordowanego niegodnie, z pogwałceniem praw, nie została pomszczoną...

Chcieliśmy zapomnieć o tem, chcieliśmy, by Zamojski przyznaniem się do winy choć w części zagładził krzywdę, — nie zrobił tego? A więc wojna na śmierć i życie!

— Niech będzie i wojna, nie mam nic przeciw temu, — rzekł Stadnicki z uśmiechem. — Tylkoż czy szkatuła cesarska nie zamknie się dla nas przed czasem?

— Arcyksiążę gotów jest ponosić wszelkie ofiary, byle tylko tron posiąść, — rzekł Zborowski. — Przed tygodniem hrabia Nogurello przywiózł pieniądze na nowe zaciągi.

— Więc jesteście za Maksymilianem? — spytał Jazłowiecki. — A inni arcyksiążęta?

— Jestem za Maksymilianem, bo on najprędzej może być obranym, — rzekł Zborowski. — Pan to rycerskiej duszy i dawno już o naszej koronie zamysłał.

— Jestem pewny, że gdyby nie Zamojski, szlachta chętnie okrzyknęłaby go królem.

— A wówczas wszystkie zaszczyty spadłyby na tego, kto najbardziej przyczyniłby się do obioru, — rzekł z drwiącym uśmiechem Górka. — I tak, wy, panie marszałku, zostalibyście kanclerzem, pan starosta śniatyński, hetmanem, a ja — to już chyba arcybiskupem.

— A ja? — spytał Stadnicki.

— Wy, panie Stanisławie? Wy chyba pójdziecie na spowiednika jego królewskiej mości, bo macie sumienie bardzo swobodne i nietrudno u was będzie o rozgrzeszenie.

Stadnicki skrzywił się.

— Nie chciwym tego zaszczytu! — rzekł. — Niech on spadnie raczej na pana Krzysztofa Zborowskiego, bo on wciąż bawi przy boku arcyksięcia.

Do sali wszedł pokojowiec.

— Porucznik Ługowski zapytuje, czy może się widzieć z wielmożnym starostą śniatyńskim, — rzekł stając we drzwiach.

— To ten sam, którego posłałicie w sandomierskie? — spytał Górka Jazłowieckiego.

— Ten sam; przywozi mi zapewne listy i wiadomości.

— A więc powiedzcie mu, by tu przyszedł, — rzekł Górka. — Wszak niema nic tajnego?

— Owszem, nawet chciałbym byście waszmościowie posłuchali wraz ze mną o tem, jak jest tamtejsza szlachta usposobiona.

Pokojowiec wszedł, a po chwili w sali stanął pan Jan. Skłoniwszy się, oddał list panu Jazłowieckiemu, mówiąc:

— Na drodze spotkałem dworzanina kasztelaną kamienieckiego, który mi list ten wręczył, prosząc o oddanie go wam, panie starosto.

— Od mego siostrzeńca, — rzekł pan Andrzej Zborowski. — Ciekaw jestem, czy nie donosi czego nowego!

— Donosi, — rzekł pan Jazłowiecki, przejrzawszy list, że na szlachtę podolską niema co liczyć, gdyż jest niechętną Maksymilianowi i najpewniej głosować będzie za Zygmuntem, — mówiłem już wam to dawniej, panie marszałku. Przytem ostrzega, że nie będzie mógł przywieść tyle wojska, ile się spodziewał, gdyż część musi zostawić gwoli obrony miasta i granic.

— Ba, strata owa da się naprawić przez przybycie brata Krzysztofa z poczem siedemset koni, — rzekł marszałek.

Pan Jan stał, czekając aż go zapytają.

— Długo waść zabawiłeś w tamtych stronach, — rzekł pan Jazłowiecki.

— Musiałem dużo czasu stracić nim zacią-

gnąłem kilkudziesięciu ludzi z drobnej szlachty tamtejszej; wszyscy wolą iść do wojska hetmana.

— A cóż tam więcej słyhać? — pytał pan Jazłowiecki.

— Słyszałem, że pan Farechsbach ma przybyć na elekcyę tylko ze swoimi nadwornymi pocztami, bo szlachta inflancka wymówiła się, kładąc za przyczynę obronę granic; chcą tylko wysłać swoich posłów, zarówno jak i miasto Ryga, — rzekł pan Jan.

— A wiecie, panie marszałku, że to nie mała szkoda będzie dla nas, jeśli Inflancyey nie przyjdą, bo to Niemcy, to snadniej by Niemcowi głós dali.

— Na Litwę także tak wiele liczyć nie można, rzekł Górka.

— Radbym wiedzieć, jak jest usposobiona szlachta lubelska i sandomierska, — rzekł marszałek nadworny. — Jakże, czy bardzo miłują pana kanclerza?

— O, panie marszałku, — zawołał pan Jan, — tamtejsza szlachta ani słyseć nie chce o żadnym z arcyksiążąt, a za hetmana dalaby się porąbać i nikomu nie da nic rzec o nim w swojej obecności.

— Może waszmość wypróbowałeś tego na sobie, co? — zapytał Górka z uśmiechem złośliwym. — Powiadają ludzie, że lubelczyki mają ostre szable.

— Nie wiem, panie wojewodo, — odrzekł pan Jan, nie zmieszany wcale, — ja nie byłem na sejmiku w Lublinie, więc sądzić o tem nie mogę.

To rzekłszy, spojrział mu w twarz spokojnie, a Górka poczerwieniał ze złości, bo zrozumiał, że była to przymówka do niego, ponieważ na ostatnim sejmiku szlachta lubelska porwała się do szabel na niego i na jego adherentów.

Pan Jazłowiecki uśmiechnął się pod wąsem, a Stadnicki spojrział z pod oka na pana Jana, bo i on był obecnym na owym sejmiku.

Jeszcze gdy usłyszał jego nazwisko, uderzył go ono, gdyż natychmiast przypomniał sobie swój pojedynek w karczmie.

Nagle zapytał pana Jana:

— Wszakci to brat waszmości jest na dworze u pana Zamojskiego?

— Mój brat stryjeczny, — odrzekł pan Jan, zdziwiony nieco pytaniem, — nie pojmuję tylko, gdziebyście mogli go spotkać, panie starosto?

— To już mniejsza o to, — doś, że odrazu domyśliłem się, że to był brat waszmości.

— Widzę, że cały ród wasz odznacza się ostrym językiem, ale czasem kosa może trafić na kamień, — dodał znacząco.

Pan Jan zrozumiał, że starosta zygwulski musiał się kiedyś zetknąć z jego bratem, a znając pana Ignacego jak lubił przyciąć każdemu, domyślił się przyczyn owej niechęci.

Gdy chciał coś odpowiedzieć, marszałek nadworny przerwał mu, zapytując:

— A czy to czasem nie ojciec waszmości był pan Józef Ługowski, starosta zakroczymski, który z moim biednym bratem Samuelem chodził na Niż, a przed trzema laty zmarł w Ołomuńcu?

— Tak, panie marszałku, to był mój ojciec, — rzekł pan Jan.

— Wielki to był przyjaciel naszego domu, — rzekł pan Andrzej Zborowski, — i wierny mu pozostał do ostatka; towarzyszył bratu naszemu, Krzysztofowi na wygnaniu, to też wspominamy o nim zawsze z przyjaźnią, na jaką wierność zasługują.

Pan Jan spojrział z wdzięcznością na marszałka. Dotąd wspomniano przy nim o ojcu, jeżeli nie z otwartą naganą, to przynajmniej w taki sposób, iż domyśleć się można było, że nie pochwalają jego życia.

Teraz dopiero, po raz pierwszy usłyszał, że oddawano sprawiedliwość pamięci ojca i uczył głęboką wdzięczność za to dla pana Andrzeja Zborowskiego.

Gdy w końcu, zdawszy sprawę z całej swej podróży, opuszczał salę w głowie jego powstała myśl, że ci, co potępiali ojca byli ludźmi jednostronnymi, ale sądząc z innego punktu, okaza-

łoby się może, że był on tylko człowiekiem zapoznanym i nieszczęśliwym.

— Stryj potępia Zborowskich, — myślał, — bo jest zaslepionym stronnikiem Zamojskiego. Nie przeczę, że było wiele złego w ich postępowaniu ale nie można ich odsądzać od czci i wiary i może, oni także w pojęciu własnym mają dobro publiczne na celu.

Marszałek nie bez przyczyny wystąpił z tą pochwałą dla zmarłego. Ze słów Jazłowieckiego oraz z tego co sam dostrzegł, pan Jan od pierwszego wejrzenia podobał mu się wielce, — to jest pomyślał sobie, że byłby mu dogodnym. Zborowscy bowiem, zajęci swojemi ambitnemi planami, wciąż byli w poszukiwaniu ludzi a przede wszystkim ludzi śmiałych i odważnych; te zaś przymioty patrzyły z oczu młodzieńcowi, dlatego też pan Andrzej postanowił go sobie skaptować z czasem, niespodziewając się jednak, że już zrobił tak dobry początek.

Wieczorem przed pójściem na spoczynek starosta śniatyński kazał jeszcze wezwać do siebie pana Jana, chcąc go jeszcze wypytać o niektóre rzeczy oraz dać mu nowe polecenia.

Po wydaniu onych, pan Jazłowiecki zatrzymał chcącego już odchodzić młodzieńca i zapytał tonem nieco poufalszym:

— No, a waszmość, widziałeś się ze swoimi?

— Tak, panie starosto, — odrzekł pan Jan z mimowolnem westchnieniem.

Pan Jazłowiecki spojrział bystro mu w twarz, a dostrzegłszy na niej smutek ozwał się z zyczliwością:

— Coś mi waszeć nie patrzysz na wesołego, panie poruczniku.

— Trudno zawsze być wesołym, panie starosto; każdemu może się zdarzyć jakowaś przykreść.

— Ale spodziewam się, że nie żadne nieszczęście? — spytał starosta z zajęciem.

— Nie, Bogu dzięki, niema tego i nadto obawiam się znudzić pana starostę, abym mu miał wspominać o domowych przykreściach i nieporozumieniach...

— Możesz śmiało mówić, bo i sam się tego domyślam. Wszak prawda, nieporozumienia te wynikły ztąd, że pozostajesz przy mnie, — tak?

— Tak, panie starosto, — rzekł pan Jan, nie mogąc uniknąć jego wzroku badawczego. — Stryj mój, który mi ojca zastępował, jest zapalonym stronnikiem hetmana i dowiedziawszy się, że nie chcę odstąpić pana starosty, rozgniewał się tak, że zamknął swój dom przedemną, zrywając wszystkie związki, które łączyły nas dotąd.

— Oczywiście, mój biedny chłopcze, spotkało cię ciężkie strapienie, — rzekł pan Jazłowiecki, przyjaźnie kładąc mu rękę na ramieniu, — ale bądź pewny, że nigdy nie zapomnę coś dla mnie poświęcił i będę się starał choć w części wynagrodzić cię za utratę związków rodzinnych. Może da Bóg, lepsze czasy nastaną i spełnią się moje plany na przyszłość, a wówczas, gdy zostanę hetmanem i ciebie czeka wyniesienie się i nie będziesz żałował, żeś mię teraz nie opuścił.

Były to słowa, które się mówi w pewnych chwilach, aby je częstokroć zapomnieć później, gdy te chwile przemijają, ale zawsze się znajdują młode, niedoświadczone głowy, które się dadzą niemi porwać.

Po rozstaniu się ze stryjem pan Jan wahać się już począł, myśląc nad tem, czy dobrze uczynił, bo słowa chorążego zachwiały nieco jego przekonaniem; lecz teraz nie żałował, że stał przy niem mocno i postanowił w każdym wypadku wiernie pozostawać przy boku pana Jazłowieckiego, który okazuje tak szlachetne, wspaniałe serce.

Chociaż nie wyraził tego w słowach, starosta wyczytał w jego oczach, że go ujął sobie na zawsze; — co zresztą nie było dlań trudnem, gdyż mistrzem był w ujmowaniu ludzi i nieraz jednym słowem zjednywał i pociągał za sobą całe tłumy braci Niżowej, która go niemal ubóstwiała. Umiał z rubasznymi być rubasznym, jak pierwszy lepszy siczowy molojce, noszący dziegiem wysmarowaną koszulę; ale gdy trzeba było ogląda-

i dworności, tam nikt go nie przewyższył, — z dumnymi umiał być dumnym jak prawdziwi królowie, lecz dla podwładnych, dla szlachty był zawsze wspaniałym i uprzejmym.

Teraz rozmawiał z panem Janem poufale i przyjaźnie, chcąc mu okazać, że go darzy zupełnem zaufaniem.

— Chciałbym, żeby z tą elekcyą prędzej już był koniec, — mówił z lekkim jakby znużeniem w głosie. — Niech tu sobie Zborowscy stoją przy boku nowoobranego króla, ja wracam zaraz na kresy, bo mi śpieszno ruszać na Krym. Dopiero jak ztamtąd Tatarów wyrugujemy, wtedy spoczne. Pomyśl no tylko, jaka chwała czeka nas w przyszłości!

— O, panie starosto, z wami nie tylko na Krym, ale na koniec świata bym poszedł! — zawołał pan Jan z zapalem! — Żeby rzec prawdę, to wołałbym nawet w tej chwili ścigać Tatara, niż zostawać dłużej w rodzinnych stronach, gdzie mię teraz nic już nie trzyma.

— Poczekać, da Bóg, że wszystko jeszcze odmieni się na lepsze, bo gdy sławę zdobędziesz, to i stryj da się łatwo przebłagać.

Pożegnany łaskawie przez starostę, pan Jan wyszedł z komnaty z sercem i głową przepelnioną różnemi nadziejami i zamiarami na przyszłość. Pan Jazłowiecki wydał mu się jakimś bohaterem, godnym największej sławy, którą z pewnością zajaśnieje w przyszłości jego imię, a on został powołany, by być tej sławy uczestnikiem.

Dostał rozkaz wyruszenia za parę dni do Warszawy, gdzie ścigały już liczne hufce różnych panów do obozu pod Wolą.

(Dalszy ciąg nastąpi)

W zatoce śmierci.

(Wspomnienie z tułactwa).

I.

W małej zatoce albańskiej, leżącej między ujściami rzek: Bojany i Drynu Czarnego — zawsze było cicho i małoludnie...

Kilka starych statków żaglowych, butwiejących inwalidów morskich, zamieszkiwało zatokę na stałe; parę innych, jeszcze używanych — między którymi szczególnie przyciągała wzrok jaskrawo pomalowana „*Bella Scutarina*“ — należało do lokatorów mniej pewnych...

Ruchu na statkach owych nie wiele było znać... Czasami ze skrzypem i zgrzytem spadała z nich w wodę na wpół zżarta rdzą kotwica, — niekiedy rozlegał się ostry i stanowczy głos komendy: „*Levi ancora*,“ (podnieś kotwicę) lub rozchodziły się głuche postękiwania załogi związającej zmoczone powrozy; zresztą było tam zawsze prawie pusto i nieruchliwie.

A gdy w „*Bellę Scutarinę*“ łagodnie uderzała z wielu stron fala, gdy tułów jej, opasy i odęty, bujał miarowo, żagle zaś łapotały cicho i miękko, takie to sprawiało wrażenie senności i odrętwienia, że dziwić się niepodobna było, iż tu życie nie drga dokoła...

Na brzegu także było głucho i na wpół — martwo...

Najwięcej stosunkowo hałasu sprawiała dziewiąta fala, z taką pocieszną zajadłością uderzająca o brzeg, że można było nie raz głośno śmiechem wybuchnąć na widok jej impetu karłego, wytwarzanego wysiłkiem, aż ośmiu fali poprzednich, łagodnych, niedbałych i omdlewających — ledwie na plusk cichy mogących się zdobyć.

Nic tu nie dawało uczuć grozy straszliwego żywiołu... żadnego miotania się, ryku, bryzgów piany wyrzucanej z wściekłością bez celu i przeznaczenia — wzdymania się i spiętrzenia fal, nigdzie tu nie można było dostrzedz.

Wszystko to ginęło gdzieś daleko przecinało się u wejścia do zatoki; do brzegu natomiast,

z potężnej i nieukozonej symfonii morskiej, dochodziły same pluski pieszczotliwe, szmery lekkie i niejasne, pohuki same stłumione i zatarate: słowem strzępy czegoś wspaniałego—nicosić jakas odarta z uroku i niestraszna.

...Wiatr, gdy wdzierał się do zatoki tracił od razu swój impet i butę, próbował wzburzyć drżące łono wody, zabiegał ztąd i zowad, spadał znienacka i gwałtownie—lecz napróżno! powierzchnia wody marszczyła się ze snu, dreszcz nieznaczny przebiegał tylko po niej, a później wszystko się wygładzało i powracała do równowagi i spokoju.

...W głębi wodnej nic się nie szamotoło, i nie brało za bary, nie ścięgało się namiętnie i nieubłaganie—żądzą życia nieśmiertelnego nie tchnęło...

Niekiedy tylko mewa, zblakana tułaczka—samotnica, wpadała w obręb zatoczny, dotykała szarosrebrnym piórkiem śpiące wody, pokrzyżyla chwil parę i nagle, jakby gnana przeraźliwym widmem własnego przeznaczenia, rwała rzutem szalonym naprzód w górę, a potem poziomo mknęła w trwodze wzdłuż brzegu, na skraj morza, uciekając od drętwej zatoki...

Zatoka długim kanałem wciskała się w ląd stały...

Widniał ztąd szary głaz czarnogórski, dziki i wyniosły, jakas wrogosć nieprzejednaną rzucający dumnie z wysoka... W nagi, ponury ów głaz były nieraz uparcie groty słoneczne—parły go ze wszech stron i naciskały, lecz odskakiwały po chwili skruszone na snopy iskier długich, rzekłbys: spisy roztrząskiwane o kirys niezłomny; znów powracały hufcem promiennym, nacierały ławą szukając łona bardziej miękkiego, lecz odparte powtórnie ześlizgiwały się, pierzchały, znów obracały się w niwecz, i w śniegu dopiero topiły swoją zawziętosć.

Znać tam było jakas radość namiętna—jakies upojenie tą walką, tem bojowaniem... Góry nieraz wyrzucały z siebie tę radość wysoko, tak wysoko, że aż niebo rumieniło się wstydliwie, pociągając się fioletem rudawym, a morze odblaskiem tej potęgi dumnej i niedbałej dyszało w czas zorzy wieczornej...

...Najmniejsza iskra radości tej nie spadała na zatokę...

Słoneczne światło jednostajnie rozlało się tu wszędzie, i taką brudno-żółtą barwą pokrywało stoki sąsiednich Alp Dynarskich, jak ta zaraza śmiertelna idąca od mokradeł zgnitych, ciągnących się wzdłuż lewego brzegu morskiego, co bladeścią zieloną znaczyła oswiałe oblicza jego mieszkańców...

Sine mgły idące od morza, zbierały się tu w wielkich masach, zgęszczały się i kłębiły, rozpełzały się nieco po wzgórzach i darły się w strzępy na ostrych ścianach urwisk, — całą jednak swą szaro-mleczną nawalą tłoczyły zatokę, jakby chciały ją w swych dymach udusić...

Wzdłuż brzegu zatoki ciągnął się dość długi budynek — coś nakształt szopy zwyczajnej—otynkowany zgrubsza i niewielkimi oknami wpatrzony w zatokę; nad nim na wzgórku, wznosił się nieco mniejszy domek murowany, w którym mieścił się zarząd Lloyd'a Austriacko-Węgierskiego; jeszcze wyżej trzeci budynek, podobny zupełnie do poprzedniego, z wetkniętą obok wysoką tyką, na której powiewała flaga wielkiej Porty: był to posterunek sanitarny.

W szopie wypoczywały karawany kursujące między zatoką i pobliskimi miastami albańskimi.

Nie trzeba było długiego czasu, by zdać sobie sprawę z tego, jakim było życie w zatoce. Streszczało się one w paru zasadniczych czyn-

nościach, odbywających się regularnie parę razy w tygodniu.

Oto, od czasu do czasu, wdzierał się do zatoki chrapliwy gwizd pochodzący od wielkiego jakiego parowca—przystającego na chwilę, na pełnym morzu, u wejścia do zatoki. Na sygnał ten parę powolnych postaci wychodziło z szopy, odwiązywało łódź stojącą u brzegu, wsiadało do niej również bez pośpiechu i płynęło w stronę stojącego parowca. Łódź zabierała rzadkich pasażerów, jeżeli byli, i zawoziła pocztę—po czem wracała znowu na stare miejsce,—ludzie zaś z powrotem do szopy, w której znikali... aż do drugiego sygnału.

Powtarzało się to ciągle, bez zmiany; wciąż z jednakową apatją i powolnością.

Czasami, gdy pasażerów i towarów do transportu było nieco więcej, szykowała się na brzegu zatoki karawana. Stawało kilkanaście koni jucznych, kilka osiołków, przybranych w rozmaite pstre rzędy, parę ko i wierzchowych dla wybitniejszego podróżnika lub starszyny; wszystko to wyciągało się w jedną linię i powoli opuszczało zatokę, idąc jakiś czas brzegiem morskim,—poczem skręcało w górę i ginęło w ich wąwozach. Brzęk dzwoneczków urywał się nagle, jakby im serca poodpadały, rzenie koni dołatowało tylko niekiedy; cisza ustalała się prędko i na długo...

Tak się miały rzeczy w zatoce, gdy jakas zewnętrzna przyczyna na chwilę wprawiała w ruch jej nie licznych mieszkańców.

Samorzutnie ruchu tego nie wytwarzali oni, odbierając go głównie z zewnątrz... Nie mieszkali tu dla siebie i z własnej woli,—dla własnych celów i pragnień: wszystkich wcisnęła tu jakas dola—niedola, jakiś mus nieodwrócony, wszyscy byli środkiem do celów cudzych: na ich zgarbionych karkach wznosiło się życie inne, im obce, któremu byli podlegli.

Na ten ruch bierny i odrętwiały ich życia, na to martwe wykonywanie powierzonych im czynności patrzył czasami, okiem pełnym pogardy, wolny *Skypétar*-góral-Albańczyk, zrzadka schodzący z gór swych niebosiężnych na jałowe i puste wybrzeże. Stawał w pozie niedbałej obok krzątających się ślamazarnie ludzi, patrzył na poganiaczy sprawujących szyki karawany, przyglądał się figlarnie „Giaurom“ wszelkim, w kusych, bezbarwnych strojach—w końcu wykrzywił się z niesmakiem i krokiem powolnym znów kierował się ku góróm, dotykając, od czasu do czasu, główni jatagańca, lub poprawiając sztucera zawieszzonego przez plecy.

Nie dziwił się temu na co patrzył, ale widać było, że nie rozumiał tego życia...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Ministerjum oświaty, wskutek pogłosek, jakoby zielone mundurki uczennic gimnazyów, źle wpływały na zdrowie,—wyjaśniło, iż obecnie wyrabiają się farby zielone zupełnie dla zdrowia nieszkodliwe.

— P. Cecylia Glücksmanówna napisała powieść p. t. „Na wyłomie,“ którą „Kuryer Codzienny“ wyróżnił na swoim konkursie powieściowym.

— Artystka malarka, p. Dulębianka otworzyła obecnie pracownię swoją w Wiedniu. (Josephstrasse Nr. 23).

— Gimnazjum żeńskie w Krakowie do którego w tym roku uczęszcza daleko większa ilość uczennic, zyskało stypendyum od Rady miasta Krakowa w sumie 500 guldenów rocznie. Z tą pomocą zyska zakład niejedno czego mu jeszcze zbywało w naukowych urządzeniach i zasobach.

— Panie Marya Cless i Joanna Huber wydały w Sztutgardzie (Levy-Muller) oryginalną książkę w kształcie dużego bochenka chleba, p. t. „Nasz chleb powszedni.“ Książka zawiera 300 przepisów obiadowych i gospodarczych, a do tego każdej taki „książkowy bochenek“ zawiera jakas niespodziankę w kształcie podarunczku, a całość kosztuje tylko 1 markę pruską.

— W ostatnich dziesięciu latach uzyskało w Anglii wedle wszelkich wymagań doktorat uniwersytecki kobiet 615. Jest to wielki postęp wobec tego że do roku 1878 uniwersytety zamknięte były dla kobiet w Anglii; tej zasady trzyma się jeszcze Oxford i Cambridge.

— Pamiętnik Marty, powieść dla młodzieży, przerobiona z powieści Bertę von Suttner (Złotyć broń!) przez hr. Jadwigę Pötting, z ilustracjami Adryanny hr. Pötting. Piękna to książka pod względem zewnętrznym, a jeszcze więcej wewnętrzną treścią ujmuje. Główną jej myślą i zadaniem jest aby młodych pokoleń nie wychowywać w nienawiściach plemiennych lecz—„wojnie wypowiedzieć wojnę“ i drogą miłości i sprawiedliwości dochodzić do ogólnego pokoju na świecie. Oba talenty sióstr Pötting literacki i rysunkowy złożyły się na bardzo sympatyczną całość.

— Energiczne apostołki feminizmu we Francji założyły świeżo nowe stowarzyszenie artystyczno-literacko-dramatyczne pod nazwą „Féministes;“ ma ono rozwijać kobietę umysłowo i społecznie.

— W Finlandyi były słuchaczki wydziału prawniczego w Helsingforsie podały prośbę do Senatu o nadanie im prawa do stawiania w procesach cywilnych i karnych.

OD WYDAWCY.

Początek drukującej się obecnie w dodatku do „Bluszczu“ powieści

pod tytułem:

Masarenowie

nowi prenumeratorowie otrzymać mogą na żądanie bezpłatnie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 9 powieści, p. t. *Masarenowie*, przez Ouidę. Przekład Z. S.

Treść: Książki dla młodzieży, przez Szczęsną. — Pogawędka, przez ?? — Ruch niewieści w Niemczech, przez Anatola Krzyżanowskiego (dokończenie). — Alfons Daudet, przez Wł. N. — Alfons Doudet. Śliwki, przez Władysława Nawrockiego. — Bezkrólewie, powieść historyczna w 2-eh częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg). — W zatoce śmierci. (Wspomnienie z tułactwa). — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: *Masarenowie*, powieść, przez Ouidę, arkusz 9. Przekład Z. S.—Przegląd mód. 11 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.